

## Metro-nuda

Dominującym elementem spektaklu staje się opowiadana fabuła. Wyposażając bohaterów w atrybuty ostentacyjnie metro- i homoseksualne, reżyser zamyka wielowarstwowy dialog dramatu we współczesnej obudowie - o "Kupcu weneckim" w reż. Tomáša Svobody w Teatrze Ludowym w Krakowie pisze Hubert Michalak z Nowej Siły Krytycznej.



Temat Żyda-obcego, który posłużył Shakespeare'owi do stworzenia tekstu uniwersalizującego problem bycia poza kanonem kulturowym został na Dużej Scenie Teatru Ludowego sprowadzony do płaskiego obrazka. Fabularne i linearne odczytanie wielowymiarowej sztuki nie jest jeszcze niczym złym. Żle dzieje się dopiero wtedy, kiedy za opowiedzianą fabułą nie kryje się nic więcej i powstaje kolejny konfekcyjny "wypełniacz repertuaru".

W spektaklu Tomáša Svobody dominującym elementem kompozycyjnym staje się opowiadana fabuła. Wyposażając bohaterów w atrybuty ostentacyjnie metro- i homoseksualne zamyka wielowarstwowy dialog dramatu we współczesnej obudowie. Sprowadza na przykład skomplikowaną relację między Antoniem (Jacek Strama) i Bassaniem (Marcin Stec) do związku erotycznego, przez co ucieka mu bogactwo postaci zapisane w tekście. Uproszczony wizerunek bohaterów przekłada się na strywializowanie całego świata. Wenecja stała się przytułkiem znużonych kurtyzan i donżuanów wystylizowanych na współczesnych metroseksualistów. Mimo bogactwa kostiumów, ich kolorów i krojów, aktorzy i aktorki w żaden sposób się do nich nie odnoszą w geście czy stylizowanym ruchu. Dystans i nonszalancja, jakie poprzez to zostają na scenie zbudowane, nie służą spektaklowi.

Wobec papuziego tłumu postawieni zostają Shylock (Kajetan Wolniewicz) i jego przyjaciel, Tubal (Andrzej Franczyk). Już ich ciemne kostiumy stanowią spory kontrast z otoczeniem. Do tego nie są przesadnie wystylizowani, noszą się i zachowują prosto, zwyczajnie. Na tej opozycji i wynikających z niej konsekwencjach mocno opiera się spora część przedstawienia. Jednak pomysł ten nie jest na tyle nośny, by udźwignąć ciężar całości widowiska. Między Shylockiem a mieszkańcami Wenecji istnieje dość oczywista relacja wrogości oraz niechętniej zależności finansowej i społecznej. Ten wydobyty z tekstu element napięcia szybko się zużywa, nie jest dynamizowany, w efekcie czego dość szybko ze sceny zaczyna wiać nuda.

Reżyser nie zdecydował się, co chciałby uczynić tematem inscenizacji. W naturalny sposób, prawem kontrastu, uwaga widza skupia się na Shylocku, ta postać też ma rzeczywiście coś do powiedzenia w znaczeniu teatralnym, jest wymyślona i logicznie, konsekwentnie przeprowadzona przez Wolniewicza. Barwne towarzystwo weneckie jednak funkcjonuje już zupełnie inaczej. Może zbytnio ufając sile grupy, reżyser jedynie poustawiał aktorów, niekiedy np. rytmizując ich działania - ale nie dał im niczego do zagrania. Aktorzy - szczególnie występujący w epizodycznych rolach - wydają się kompletnie zagubieni, prywatni, niepewni, wypadają z roli. Jedyną osobą, która nie budzi tego przykrego wrażenia jest Katarzyna Tłałka w roli jednej z kurtyzan, której gra jest precyzyjna i komponuje się z pozostałymi na tyle, na ile to możliwe; nie próbuje się wybijać, zna swoje miejsce w spektaklu, ale też swoją rolę próbuje wykonać jak najlepiej.

Inscenizacja zdecydowanie rozpada się na niewspółgrające ze sobą elementy. Obok fragmentów retorycznych i pięknej frazy Shakespeare'a (inkrustowanej niekiedy zupełnie współczesnymi dowcipami o Żydach) na tych samych prawach pojawiają się np. pracujące pełną parą wiatraki (skutecznie zagłuszające wypowiedziany ze sceny tekst). Całość akcji umieszczona jest w dziwnej przestrzeni (rzeźni? basenie?), a w proscenium został wpuszczony niewielki brodzik z wodą. Młodzi bohaterowie pierwszego aktu w akcie drugim zmieniają wygląd (zakładają inne, bardziej współczesne kostiumy), ale w nich samych nie zmienia się nic. Trudno pojąć znaczenie tych wszystkich elementów dla przedstawienia. Być może nie mają one nic do niego wnieść. Wyglądają bowiem raczej jak nieudolny kamuflaż niedostatków interpretacyjnych i kiepskiej pracy reżysera. Mnogość pomysłów wygrała z ich jakością, co szczególnie w drugim akcie budzi sprzeciw widza i jego niezrozumienie.

Dramat Shakespeare'a mieni się znaczeniami. Można go czytać zarówno jako apologię niewinnie cierpiącego Żyda, jak i jako jego oskarżenie. Reżyser nie dał szans zespołowi aktorskiemu na rozwinięcie skrzydeł i autentyczną pracę na znakomitym tekście. Z perły literatury pozostawił jedynie jej dalekie odbicie w krzywym zwierciadle.

Hubert Michalak  
Nowa Siła Krytyczna  
11-03-2008

e-teatr.pl - wortal teatru polskiego © Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego